

„KUNSZT SPEKTAKLU TRUDNY DO POBICIA”

Posted: Kwiecień 18th, 2013 ☐ Filled under: [Polecane](#), [Refleksje](#), [Teatralne](#) ☐ [Brak komentarzy](#)

DZIĘKUJĘ SARZE BEDNARCZYK ZA TĄ PIĘKNĄ RECENZJĘ:

KATHARSIS



fot. Lambis Stratoudakis

„Zwykle mocno opieram się publicznemu wypowiedzianiu o czymś co zobaczyłam czy przeczytałam. Zwyczajnie staram się nie wypowiadać na tematy, na których się nie znam. To znaczy, wiem co mi się podoba, a co nie, co porusza, a co jest obojętne, ale każdy ma przecież swój gust. Natomiast zupełnie bezemocjonalne podejście do sprawy, jest mi obce, dlatego „oceniać” nie lubię. Najlepiej, jeśli każdy przekona się na własnej skórze, więc bardzo proszę, nie sugerujcie się, tym, co napiszę poniżej. To tylko moja opinia, a liczą się fakty.

Kocham teatr, ale od pewnego czasu czegoś mi w nim brakowało. Nie było w nim tego, co mogło mnie poruszyć gdzieś głęboko, od środka, czy wyzwolić ukryte uczucia – w teatrze antycznym nazywano to chyba katharsis...

Dobrze. Wstęp trochę przydługi, ale taki właśnie był zamiar. Miałam nadzieję, że nikt nie dotrwa do momentu, kiedy przejdę do meritum sprawy. I wciąż na to liczę, ale czy się nie przeliczyłam dowiem się wkrótce.

Koniec z laniem wody.

Do rzeczy.

W grudniu – po raz pierwszy prezentując Wam stronę przedstawienia „Peggy Pickit widzi twarz Boga” na mojej tablicy, napisałam, że będzie to prawdopodobnie najlepsza premiera w sezonie (albo coś w ten deseń). Miałam nie zapeszać. W zapeszenie nie wierzę, ale w swoje

umiejętności przepowiadania przyszłości coraz mocniej. Bo, choć sezon się jeszcze nie skończył, to **kunszt spektaklu trudny do pobicia**.

Spektakl prosty... Choć nie, to złe określenie. Budowa spektaklu skomplikowana, nawet bardzo, ale cała ta... wielowymiarowość „podana” widzowi w prosty, przystępny sposób. Myślę, że tak samo dobrze rozumiały dla stałego bywalca teatru, jak i tego, który na teatralnej widowni pojawia się sporadycznie, a nawet „raz od wielkiego dzwonu”. Tak mi się wydaje...

A podczas trwania spektaklu widz przechodzi od gromkiego śmiechu do łez. Wzruszenia? Bólu?... Nie wiem, mogę pisać tylko za siebie). A na początku przedstawienia tak siedziałam i zastanawiałam się: „z czego wy ludzie się śmiejecie?”. A odpowiedź przychodziła niemal natychmiast: z siebie się śmiejecie. Od samego początku w postaciach na scenie widzimy siebie. Ludzi, w których wzajemnych relacjach coś się popsuło, jeszcze próbują udawać, że wszystko w porządku, ale... Brakuje czułości, ciepła, miłości... Są w sobie puści jak... lalki ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Nastąpiła hibernacja uczuć. Na pozór silni, a nie mają odwagi mówić tego, co naprawdę myślą.

I tutaj dla... bohaterów sztuki pojawia się postać narratora – „X”. Każda z postaci choć raz zwraca się do niego bezpośrednio, podchodzi wylewając swoje żale jak do... Boga. Natomiast X niczym... szatan ostro ucina te „modlitwy”, jakby mówił: „spokój”, „cisza”, „graj”, „brnij w to dalej”, „wracaj do swojej maski”, „musisz”... (W swoim życiu takie głosy w mózgu nazwałabym instynktem samozachowawczym.) I bohaterowi potulnie wracają do swojej wcześniejszej postawy.

I o ile przez cały spektakl czułam się jakby mi ktoś pomału, pomału wbijał kolejne... szpile, są dwa monologi panów, które przeszywają na wskroś.

Pierwszy, o którym wspomnę jest o... wymianie żarówek w... (no właśnie nie pamiętam w czym, a w tekście dramatu nie mogę tego znaleźć... dopisany?). Ale w tym wypadku tekst jest tutaj najmniej ważny... Chodzi o ładunek emocjonalny, który wbił mnie w fotel. Pod „przykrywką” żarówek, zmiany tematu, było „coś”. Prawdziwy ból? Rozczarowanie?

I te stale powtarzające się zdania „to staje się szybko”, „rany się nie goją”...

I drugi, tym razem nostalgiczny tekst, chyba był wcześniej, o człowieku, który z miłości do kobiety, zmieniał świat. Pod koniec monologu miałam w gardle ogromną gulę, bo było to o czymś, co też odczuwam od dawna. Że można poświęcać się dla kogoś, dawać z siebie wszystko... A to i tak nie zostanie zauważone, docenione, przegrywa się... Siebie?

I już tak na zakończenie. Był moment, kiedy bohaterowi wyrzucają z siebie swoje żale, bóle... Moment, który dla mnie był na granicy wytrzymałości. Granicy nie przekracza, ale jest ona bardzo cienka, niemal idealnie wyliczona. Ale buzowało we mnie już tyle emocji, że miałam ochotę wstać i wyjść (z płaczem?), bo trudno było usiedzieć w miejscu, a równocześnie coś wciskało mnie w fotel i nie pozwalało się z tego miejsca wyrwać. I nasuwa się dziwna analogia. Jak często mamy tak w życiu? Tkwimy w tym kołowrocie, w tym wyzuciu z uczuć, pod maską... w samotności, a jednak boimy się coś zmienić. W obawie przed czym? Przed śmiesznością czy przed kolejnym rozczarowaniem, zranieniem? Pies leży na gwoździu, ale gwoździec nie jest dostatecznie ostry, żeby wstać? A cóż może być gorszego od życia jałowego w uczucia?

W każdym razie... Zobaczyłam doskonały spektakl, **spektakl, na który, chciałoby się powiedzieć, czekałam od lat**.

Wysłałam na powietrze roztrzęsiona, zbiłam przez to buteleczkę perfum, trudno, odkupi się i... nagle myśl – za czym ja gonię (a tego dnia prawdopodobnie przejechałam ponad 400 km)? Czy nie zgubiłam po drodze siebie? Priorytetów. Taki wyrrywacz ze strefy komfortu. W końcu od nadmiaru emocji po policzkach pociekły łzy. Wstrząsnął mną płacz, który od lat uważałam za... wstydlivy. A nagle dało to chwilowe ukojenie. Coś pękło. Ktoś czy coś, zdjęło na chwilę maskę z twarzy „Królowej Śniegu”.

W moim przypadku na chwilę, ale bardzo potrzebną, żeby odzyskać siłę. Zdejmowacz masek... Może komuś, czego życzę z całej mocy, zostanie tak na dłużej.

Spektakl „Peggy Pickit widzi twarz Boga” trudno opisać słowami, jest to niemal niemożliwe... Trzeba to zobaczyć i poczuć...

Na prawdę starałam się pisać ten tekst logicznie, nawet sobie w punktach wynotowałam o czym pisać... Niestety, prawdopodobnie wciąż nie oddałam tego co chciałabym przekazać i tego co czuję, jest wiele niejasności... Ale na usprawiedliwienie tego swojego... wyводу mogę powiedzieć tylko jedno: ani tego, co napisałam, ani mnie, nigdy nie zrozumie ten, kto nie jest sam...”

Grzegorz Kempinsky BLOG: <http://www.kempinsky.pl/archives/1188>

RECENZJA W RYTMIE PĘDZĄCEGO POCIĄGU

Posted: Kwiecień 21st, 2013 ☐ Filled under: [Polecane](#), [Teatralne](#) ☐ [Brak komentarzy](#)

KOMPLETNIE BYM ZAPOMNIAŁ, A PRZECIEŻ **WITEK AUGUSTYŃSKI** NAPISAŁ FANTASTYCZNĄ RECENZJĘ Z „PEGGY PICKIT „!!!

Oto ona:

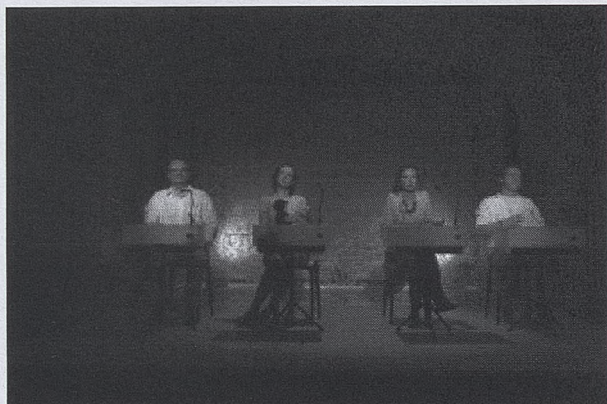


foto: Marcin Mazurowski

„No i stało się

Dzięki uprzejmości **Grześka Kempinsky’ego** obejrzelismy z Karolem spektakl „**Peggy Pickit widzi twarz Boga**” na scenie Teatru

Ludowego Pod Ratuszem.

Na premierze widzów było tyle, że trudno było wcisnąć jeszcze igłę.

Trzeci dzwonek i ... na scenie, najpierw powoli jak żółw ociężale ruszyła ta drama na deskach ospale. Szarpnęła scenariusz i ciągnie z mozołem. I poci się, poci się czoło za czołem. I biegu przyspiesza, i gra coraz prędzej. I mówi, i krzyczy, narzeka i zrzedzi. A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na zrost! To w górę, to na dół, po skosie, na wprost. Przez mózg, scenografię, przez scenę, przez nas. I spieszy, przyspiesza, by zdążyć na czas. Do taktu muzyki i stuka, i bluka to: Tak to to, tak to to, tak to to, tak. Gładko tak, lekko tak toczy się w dal, Jak gdyby to było wesele, nie żal. Nie ciężka historia zawiła i trudna, lecz betka, igraszka i lalka paskudna. A skądże to, jakże to, czemu tak gra? A co to to, co to to, kto to ją pcha? Że biegnie, że płynie, że wznosi się hen? To trupa aktorów przejęła jej tren. Historia, co toczy się, toczy, na tle nieboskłonu. I życia, i ludzi, i śmierci, i zgonu. I gnają, i pchają, i występ się toczy. Bo balon w obłokach, bo pilot wnet skoczy. I scena dygoce, i miga, i stuka to: Tak to to, tak to to, tak to to, skoczy!...

Rewelacja – Gratuluję – Polecam!!!”

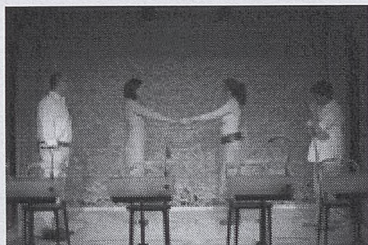
Spektakl „Peggy Pickit widzi twarz Boga”
w Teatrze Ludowym

Link do źródła:

<http://www.augustynski.eu/archives/1393>

Grzegorz Kempinsky BLOG: <http://www.kempinsky.pl/archives/1188>

Opowieść o ludziach z defektem



"Peggy Pickit widzi twarz Boga" - reż. Grzegorz Kempinsky - Teatr Ludowy w Krakowie

„Peggy Pickit widzi twarz Boga” to ósmy już spektakl Grzegorza Kempinsky’ego, który miałem przyjemność oglądać. Krakowskie przedstawienie nie przypomina żadnej z poprzednich realizacji reżysera i zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że stanowi w jego twórczości rodzaj nowego otwarcia. Niezwykle pojemny tekst, rewelacyjnie zagrany i okraszony świetnie dobraną muzyką sprawia, że myśli się o nim jeszcze długo po wyjściu z teatru.

Spotkanie dwóch par niegdysiejszych studentów medycyny – w miarę, jak ubywa zawartości w butelce – staje się boleśnie szczerym seansem, w trakcie którego na jaw wychodzą tłumione latami pretensje, poznajemy również różne wersje jednego zdarzenia. Autor konstruuje tekst z matematyczną precyzją. Nie ma tutaj żadnego zbędnego słowa. Roland Schimmelpfennig konsekwentnie podsuwa kolejne elementy układanki, by w zakończeniu stworzyły całość. Początkowo przesadnie gwałtowne na pozór reakcje Karen znajdują swoje wyjaśnienie w finale. Również diagnozy Liz, dotyczące wyglądu Martina i Karen, nie okazują się bezpodstawne. Co ważne, przez cały czas dramaturg – a za nim reżyser - posługuje się niedopowiedzeniem.

Zawiedzie się ten, kto spodziewa się zobaczyć na scenie realistycznie przedstawione wnętrze domu Liz i Franka – „Peggy Pickit widzi twarz Boga” to nie „Bóg mordu”. Scenografia Barbary Wołoszki jest niezwykle pomysłowa – symboliczna, metaforyczna, pozwalająca snuć rozmaite domysły na temat tego, gdzie znajdują się bohaterowie. Jej minimalizm sprawia, że widz skupia swoją uwagę na aktorach, a ci grają fenomenalnie. Każdy z pięciorga wykonawców dysponuje odmienną barwą głosu i reprezentuje inny typ fizyczności, a siedząc na niewielkiej widowni można zobaczyć każdy niuans na ich twarzach. Liz mówi dużo, głośno i szybko, ale to tylko poza, mająca przykryć fakt, że jej małżeństwo okazało się pomyłką. Dopiero gdy zostaje zderzona z prawdziwym dramatem, o którym opowiadają Karen i Martin, uświadamia sobie miałość własnego życia. Marta Bizoń od początku rysuje ją grubą kreską – to jej bohaterka rządzi w tym małżeństwie. Aktorka błyskawicznie musi przechodzić od śmiechu do powagi. Mimo, że swoje monologi wygłasza z prędkością karabinu maszynowego, można zrozumieć każde słowo. Ma bardzo plastyczną twarz, na której znakomicie widać emocje postaci – wystarczy spojrzenie czy układ ust. Niewątpliwie najbardziej złożoną i z racji tego najtrudniejszą do zagrania postacią jest Karen. Karolina Stefańska wyszła z tej próby zwycięsko. Młoda aktorka prezentuje całą paletę uczuć, lecz nawet w najbardziej emocjonalnych fragmentach nie osuwa się w jakąkolwiek sztuczność czy nieznośnie histeryczne tony. Martin ma problem z alkoholem i rzyga ze śmiechu, słuchając opowieści Karen o pewnym niecodziennym zdarzeniu, ale to właśnie do niego należy monolog, który się zapamiętuje. Opowieść o spotkaniu białego turysty z Adisą w ustach Jacka Wojciechowskiego brzmi w sposób krystalicznie czysty, jakby aktor właśnie w tej chwili

układał tę historię. W pamięć zapada również trudny i mówiony w zawrotnym tempie monolog na temat tego, co „odbywa się szybko, bardzo szybko, skomplikowane to nie jest”. Frank – ordynator w klinice – przeraża ogromem ignorancji (tych, którzy leczą chorych w krajach Trzeciego Świata, oskarża o to, że uczynili z tego wygodny sposób na życie) i jest postacią zdecydowanie antypatyczną (swoją córkę nazywa „klopsem”). Gospodarz, który nawet nie próbuje ukryć, że opowieści gości śmiertelnie go nudzą okazuje się słabym mężczyzną, a grający go Tadeusz Łomnicki nawet przez chwilę nie ma zamiaru usprawiedliwiać swojego bohatera.

Nad prawidłowym przebiegiem akcji czuwa postać, której nie ma w tekście – „X” (obdarzony znakomitą głosem Krzysztof Górecki). Przedstawia widzom bohaterów, precyzyjnie określa czas akcji, wyłącza muzykę i pozostaje głuchy na to, co mówią do niego Liz, Karen, Martin oraz Frank. Niewzruszony, nieznoszącym sprzeciwu tonem czyta numery kolejnych scen, didaskalia oraz imiona postaci. Kim jest? Trochę inspicjent, trochę narrator, z pewnością reżyser, może Boski Scenarzysta. Ten metateatralny zabieg wzbogaca dramat o jeszcze jedno piętro znaczeniowe.

Grzegorz Kempinsky nie zapomina, że „sztuka” pochodzi od słowa „sztuczność”. W spektaklu mamy więc do czynienia z umownością - bohaterowie piją z pustych kieliszków, jedzą z realnych talerzy prawdziwymi sztuczkami wyimaginowany posiłek, a wymierzenie policzka to jedynie markowanie ciosu, któremu towarzyszy adekwatny efekt dźwiękowy. Ciekawych pomysłów jest więcej: w jednej ze scen każda z postaci mówi monolog w innym języku, w innej Liz śpiewa swoje kwestie. Intrygująca jest również ścieżka dźwiękowa: płynące z adapteru kojące dźwięki „Be Good” Gregorego Portera poprzedza refren „Carmen Queasy” Skunk Anansie, a piosenki stanowią komentarz do tego, co dzieje się na scenie. Reżyser zmienia znaczenie kwestii (wypowiedź Martina na temat inteligencji gospodarzy, w zamierzeniu żartobliwa, staje się złośliwością, sformułowaną wskutek wypicia zbyt dużej ilości alkoholu) i dopisuje sceny, których brak w dramacie (sekwencja z telefonem komórkowym sugeruje na temat Franka coś więcej niż tylko to, co w tekście zawarł Schimmelpfennig).

„Peggy Pickit widzi twarz Boga” to nie tylko krytyka posiadających dom z garażem mieszkańców Zachodu, którzy uspokajają własne sumienia, wysyłając pieniądze do krajów Trzeciego Świata. Schimmelpfennig opowiada o czymś dużo bardziej przerażającym niż wszystkie teksty brutalistów razem wzięte – o chorobie naszych czasów, o ludziach z defektem, którzy potrafią pomagać chorym w dalekiej Afryce, a nie są w stanie kochać tych, którzy są tuż obok. Bez wątplenia każdy z widzów znajdzie w przedstawieniu to, co dla niego najważniejsze – w zależności od tego, w jakim momencie swojego życia aktualnie się znajduje. Warto przekonać się o tym samemu.

Tomasz Klauza
Dziennik Teatralny Katowice
4 maja 2013

Peggy's Society (Peggy Pickit widzi twarz Boga)

8 maja 2013 · by redakcja · in Magda Bałajewicz, recenzje

„To była kompletna katastrofa! Disaster!” - mówi jeden z bohaterów. Wszyscy jednak uśmiechają się promiennie, wymieniają serdeczne uściski, rzucają elokwentne, wyuczone formułki, stwarzając pozory przyjaźni. Klęska wisi jednak w powietrzu, a tandetne, puste, czule słówka bezlitośnie brzęczą w uszach – i aktorów, i widzów. Wszystko to jest tak znajome...

Dwa ekrany po obu stronach sceny wyświetlają obraz spadochroniarza, przygotowującego się do swojego rekordowego skoku. Na środku białego podestu cztery identyczne stoliki radiowe w tym samym kolorze, z czarnymi mikrofonami, ustawione en face widowni, stapiają się w jedno z podłogą i umieszczoną w tle szklaną szybą, stwarzając atmosferę kapsuły, kosmicznego laboratorium. Wszystko jest sztuczne, plastikowe – zbyt białe, zbyt czyste i nieskazitelne, nieludzkie.

Punktem wyjścia w *Peggy Pickit widzi twarz Boga* jest świetnie zaaranżowane spotkanie towarzyskie dwóch par – podzielona na pięć części kolacja, poprzedzona iście amerykańskim powitaniem na lotnisku znajomych powracających z Afryki. Z minuty na minutę przeradza się ono jednak w koszmar. Każde z tych czworga pozornie spełnionych, usatysfakcjonowanych zawodowo i prywatnie ludzi ma swoją tajemnicę, historię. Bohaterowie opowiadają ją pojedynczo w atmosferze przypominającej przesłuchanie – siedząc przy stoliku radiowym, leżąc na podłodze bądź stojąc na krześle. W tym czasie pozostali zastygają w bezruchu na znak siedzącego w kącie reżysera/mistrza, który w przeciwieństwie do błyszczących w jasnym, chłodnym świetle reflektorów postaci – ukrywa się w cieniu. Każdy ma swoje pięć minut.

Całość tworzy performance odgrywany przez postaci wobec siebie oraz wobec nas – widzów. To film ze świetną, alternatywną ścieżką dźwiękową, powtarzający bezlitośnie utarty schemat. To jedzenie powietrza, picie nieistniejącej wody, mówienie nic nie znaczących słów. Nie ma nas, nie ma postaci – są tylko wytwory, manekiny ożywiane głosem siedzącego w kącie mężczyzny – zagubione, domagające się wyjaśnień. Towarzyszy im ciągle pytanie „dlaczego”? Na początku czekają na odpowiedź w sposób wyrafinowany, zgodnie z zasadami etykiety, jak przystało na *high society*. Potem już tylko rozpaczliwie i nieskładnie błagają o nią, zmagając się z ciągłym strachem i paniką. Budowany przez wszystkie lata porządek w jednej chwili rozpada się w drobny pył. Błahe żarciki, wymienianie komplementów i uprzejmości kończą się, ustępując miejsca skrywanym od lat sekretom i kompleksom. Przeszłość żąda wyjaśnień, rujnuje ład i fałszywy spokój. Wzajemne niedocenienie, żal, tłumione złości, zazdrość i pretensje wylewają się z ust nienagannie wystylizowanych, bogatych, pięknych ludzi. Przepaść lat, liczne niedomówienia bołą, a pamięć zawodzi. Chęć cofnięcia się, zrzucenia masek i zaistnienia „naprawdę” okazuje się jednak niemożliwa. Pozornie nic nie znacząca wizyta przypomina *Rzeź Polańskiego* – nieistotne spotkanie przemienia się w osobistą walkę, z której nikt nie wyjdzie bez szwanku.

Spektakl Teatru Ludowego wskazuje, wręcz wytyka chorobę współczesności – chroniczną samotność, zagubienie i trywialność życia, gdzie twarz Boga zobaczyć może już tylko maskotka Peggy. Jedyna rzecz, której możemy być pewni.

Magda Bałajewicz, Teatralia Kraków
Internetowy Magazyn „Teatralia”, numer 57/2013

Teatr Ludowy w Krakowie / Scena pod Ratuszem

Peggy Pickit widzi twarz Boga

Roland Schimmelpfennig

przekład: Michał Ratyński

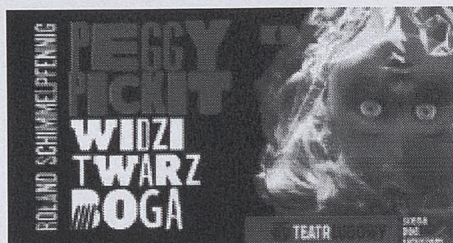
reżyseria: Grzegorz Kempinsky

scenografia: Barbara Wołosiuk

obsada: Marta Bizoń, Karolina Stefańska, Krzysztof Górecki, Tadeusz Łomnicki, Jacek Wojciechowski

premiera: 13 kwietnia 2013

Kumał? Czy nie kumał?



"Peggy Pickit widzi twarz Boga" - reż. Grzegorz Kempinsky - Teatr Ludowy w Krakowie

Teatr Ludowy przygotował dla widzów kolejne przedstawienie wyreżyserowane przez Grzegorza Kempinsky'ego pod tytułem „Peggy Pickit widzi twarz Boga”. Reżyser w sztuce wykorzystał typowe dla swoich przedstawień efekty takie jak: długie monologi, szereg powtórzeń, pełne pozorów dialogi, urywane sceny.

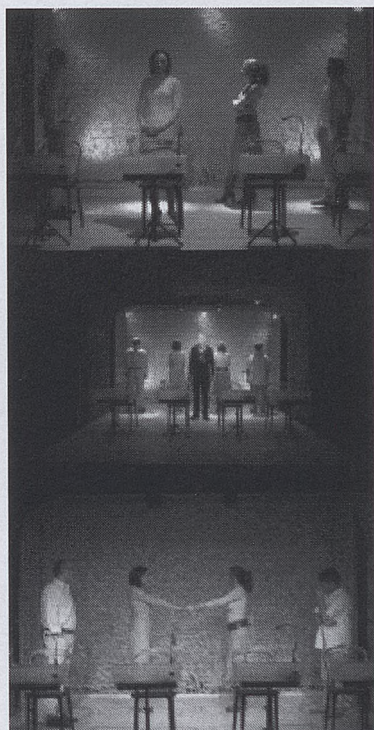
Ta na pierwszy rzut oka prosta sztuka oparta na tekście Rolanda Schimmelpfenniga opisuje spotkanie po latach dwóch małżeństw. Są to ludzie po czterdziestce, których losy po ukończeniu szkoły medycznej rozeszły się. Frank i Liz wybrali dość stabilne i jak się z czasem okazało nudne życie. Po kolei zdobywali coraz wyższe stopnie kariery zawodowej, zamieszkali w domu z garażem, powiększyli rodzinę. W przeciwieństwie do nich Karen i Martin wybrali przygodę, wyjeżdżając altruistycznie do Afryki, aby pomóc najuboższym. Po ich powrocie okazało się, że nie mają w Ameryce nic i nie potrafią się odnaleźć w szczelnie zamkniętej cywilizacji. Spotkanie obu par pokazuje jak bardzo doświadczenia lekarzy różnią się od siebie, ale także (paradoksalnie) jak niewiele czwórki bohaterów dzieli. Mimo odmiennej sytuacji materialnej, znaleźli się w martwym punkcie pustego, nudnego życia z drugą osobą. Pojawia się refleksja nad uczuciem, miłością, tęsknotą, a przede wszystkim nad ogromną samotnością. Zachowanie i słowa każdego z bohaterów ujawniają jak bardzo brakuje mu uczucia i bliskości drugiej osoby.

Autor i reżyser poważnie podchodzą do problemów dotyczących mieszkańców Czarnego Łądu – w spektaklu poruszony zostaje wątek ciągle rosnącej pandemii AIDS oraz innych śmiertelnie niebezpiecznych, nękających Afrykę nieszczęść. Przez pryzmat tego, co dzieje się w Afryce, zupełnie inaczej można spojrzeć na nasze problemy, na funkcjonowanie mieszkańców Starego Kontynentu. Tak bardzo skupieni na sobie i na swoich sprawach, na pracy czy zdrowiu, niewiele zajmują nas kłopoty drugiego człowieka, a zwłaszcza sprawy ludzi mieszkających „tam, gdzieś”, którzy ciągle walczą o swoje życie i przetrwanie. Nawet jeśli w jakiś sposób im pomagamy, to często postępujemy tak tylko dlatego, żebyśmy sami mogli lepiej się poczuć.

Kempinsky określa czas swojej sztuki na dzień 14 października 2012 roku, kiedy to Felix Baumgartner skacząc z możliwie największej wysokości przekroczył barierę dźwięku. Po bokach sceny Teatru Ludowego zostały ulokowane dwa duże ekrany przedstawiające przygotowania Baumgartnera do skoku i sam lot. Na scenie niewiele się działo: aktorzy ciągle siedzieli przy czterech stolikach z mikrofonami, recytowali swoje teksty, czasem tylko ktoś poruszył się, wstał... Miały miejsce częste powtórzenia wypowiedzianych wcześniej kwestii, zagrano wiele niezrozumianych, scen. Brakowało mi ruchu na scenie, emocji, ekspresji. Czasem można było odnieść wrażenie, że to, co się działo na ekranach było ciekawsze niż toczące się pomiędzy czwórką bohaterów wydarzenia. Całkowicie nie rozumiem pomysłu z

zastosowaniem ekranów telewizyjnych, denerwuje mnie wprowadzanie do przedstawień elementów multimedialnych bez zupełnego ich uzasadnienia. Nie mogę także dociec z jakiego powodu reżyser wprowadził do inscenizacji piątą osobę. Nie wiem, czy miała to być jakaś niejasna imitacja reżysera, inspicjenta, terapeuty albo duchowego przywódcy? Być może po to aby jeszcze bardziej zagmatwać trudną narrację Schimmelpfenniga?

Niestety, mimo, że spektakl aktorsko nieźle się broni, bo cała piątka (Marta Bizoń, Karolina Stefańska, Krzysztof Górecki, Tadeusz Łomnicki, Jacek Wojciechowski) to przecież fachowcy z wysokiej półki, jednak większość widzów wychodzących z przedstawienia raczej nie była „na sto procent” przekonana jaki cel przyświecał reżyserowi przy obmyślaniu i realizacji „Peggy Pickit widzi twarz Boga”. No, może z maleńkim wyjątkiem. Na widowni siedział jeden z czołowych aktorów Teatru Ludowego, który swoim zachowaniem, zagrzewając zapewne życzliwie swoich kolegów na scenie, wyraźnie dawał do zrozumienia pozostałej części widowni, że kuma. Chociaż...? Chyba jednak tego też nie jestem całkiem pewna.



Aleksandra Kazimierska
Dziennik Teatralny
6 maja 2013